

## ***Wspomnienia z Panamy, czyli pożegnanie z mantrą...***

### **8 luty**

Stoimy w Colon. Aruba za nami! Morze Karaibskie za nami!

W Colon stoi mnóstwo jachtów, niektóre nawet po kilka lat. Stoją, imprezują, raz są w porcie, raz na kotwicy, remontują się, czasami płyną dalej - tak jak nasze - na Pacyfik. Bardzo dużo jest pływających małżeństw, par ze średnią wieku 50-70 lat (my pośród tego towarzystwa to w sumie małolaty). Mnóstwo osób pływa przez kilka miesięcy w roku, a potem - na następne - wraca na stały ląd (spotkać się z rodzinami, zobaczyć jak mieszkają się ich domy). A potem znów wypływają... poznawać nowych ludzi i cieszyć się życiem!.. Zauważyłam taką drobną różnicę: w Polsce na 15-metrowym jachcie pływa przeważnie ok. 10 osób; w okolicach Panamy czy Karaibów taki jacht jest akuraty dla 2 osób. I pełno tu ogłoszeń o rejsach, o poszukiwaniu załóg na Pacyfik czy Atlantyk. Może ja zostanę?

Kiedyś popłynęłam sobie naszym dinghy do portu. Czekać na dziewczyny zaczęłam się przechadzać. Zaczepił mnie gostek, który zbierał (zdzierał?) na ponton i pyta, czy ja tylko tutaj (po porcie), czy może wybieram się do miasta. Bo jak do miasta - to koniecznie powinnam coś ubrać na siebie. Uspokoiliam go, że na pewno się ubiorę - jak tylko trochę wyschnę (po przejażdżce dinghy). A tak przy okazji: bardzo dbają tutaj o to, żeby w miejscach publicznych nie pokazywać nadmiernych dekoltów. Przy wejściach do knajp czy biur są porozwieszane kartki informujące, że do środka nie wpuszcza się osób bez butów i koszulek.

Innym razem, przepływając dinghy na ląd, wypatrzyłyśmy nazwę „Gdańsk” na białej burcie jachtu... Hmm, czyżby nasi? No jasne! Poznajemy Basię i Jurka! Serdecznościom i powitaniom nie ma końca. W sympatycznej atmosferze bardzo szybko dowiadujemy się, co jest potrzebne do przepłynięcia Kanału Panamskiego. Przede wszystkim na każdym jachcie musi być 5 osób (4 do cum+sternik; szóstą osobą jest pilot z miejscowego urzędu). Ponadto 4 grube cumy o długości min. 38 m, jakiś gong i tyle. No i koniecznie trzeba zaznaczyć, że łódka na silniku tak z 8-9 węzłów robi (jak wpisze się mniej to mogą kazać sporo dopłacić). Nasza mantra robi średnio 5-6 na silniku, ale jak z prądem płynie - to spokojnie 8 potrafi. Więc dopłat – chyba nie musimy się bać.

Żeby zgłosić jacht do przeprawy przez Kanał potrzeba też załatwić szereg formalności. Jedziemy więc do biura, gdzie wypełniamy papiery (o kolorze i metrażu łódek). I

dowiadujemy się jeszcze, że mamy czekać na mierniczego. Mierniczy przypląwa dużym pilotowym statkiem (te pilotówki to potrafią takie manewry robić, że ho-ho; np. obrót w miejscu; mają podobno zamontowane jakieś dwie specjalne śruby) i zaczyna krążyć wokół naszych mantr. Krąży i krąży i zastanawia się, jak do nas wejść, bo wysokość z pilotówki - jest spora. W końcu podchodzi burtą i skacze na pokład mantry „Asi”. Udało się. Przez chwilę robi tam obchód, sprawdza... Potem wraca do siebie i zaczyna krążyć koło nas... Ale chyba coś dostrzegł, bo pyta: „A te łódki – to nie są identyczne?” No przecież, że są. Więc nie wchodzi już do nas, tylko informuje, co na jachcie ma być (np. kibelek, bo bez niego - pilot nie pojedzie), a na spisywanie papierów - umawia się w portowej knajpie. Tych papierów okazało się być mnóstwo. I to jeszcze w iluś kopiach. Ale zostały załatwione. Teraz zostało nam tylko ludzi wykombinować, żeby oba jachty mogły przełazić razem.

Ania, Babe i Basia decydują się przejść przez Kanał jeszcze przed naszą przeprawą, żeby zobaczyć jak to wygląda (akurat podpłynął sympatyczny facet pontonem i pyta, czy u nas nie ma chętnych... bo on tylko z żoną; tak właśnie szuka się załóg). Odwozimy więc dziewczyny. Ale na miejscu okazuje się, że jacht którym miały płynąć, nie będzie dziś przechodzić, bo pilotów brak. Będą jutro. Straszny bałagan tu mają. Najpierw mówią że na pewno dziś, a potem okazuje się – że niekoniecznie. Bo to może być jutro, choć wcale nie na pewno. A człowiek czeka i czeka na tego pilota. Ciekawe jak u nas to się skończy... Następnego dnia do przeprawy z udziałem dziewczyn szczęśliwie doszło. Wróciły bardzo zadowolone. Pice of cake! Tylko czasami trochę power'a potrzeba do tych długich cum, ale poza tym? Miło sympatycznie spędzony czas. Luzik!

Innego dnia o pomoc przy przejściu Kanału poprosili Basia i Jurek. No problem! Bardzo chętnie! Teraz Gosik i ja, bo jeszcze nie byliśmy. Niestety. I nasze przejście nieco się przeciąga, a w efekcie - zbiega z przylotem Andrzeja. Trochę głupio... Ale z drugiej strony taka okazja może się przecież nie powtórzyć! Zresztą, zobaczymy się tylko jeden dzień później. Jedziemy! Dmucha trochę mocno (a my jedziemy mantra dinghy). Fale spore, chłapie jak cholera. Po chwili jesteśmy całe mokre, a w dinghy – wody po kostki. Szukamy s/y Gdańsk, ale nie możemy go znaleźć! Kurcze, bez sensu jest tak kręcić się po porcie. Wracamy i wywołujemy ich na UKF-ce. I gdzie są? Przed nami! Tyle że na drugiej burcie mają „Vancouver” a nie „Gdańsk” i to nas zmyliło... Ok. 5.00 przybywa pilot. Pyta czy wszystko jest (cumy itp.) Ma ze sobą mnóstwo komórek (ze trzy?) i przez całe przejście jak nie śpi, to gada przez te telefony... Płyniemy na silniku, ale na fokę też. Obok nas - ogromne statki towarowe. Szlak wytyczają czerowno-zielone boje. Płyniemy bez zatrzymywania się na

jeziorze. Mijamy Puente de Las Americas. Most Ameryk - jedyny łączący obie Ameryki. Obfotografujemy go ze wszystkich możliwych stron. I już jesteśmy na Pacyfku!!! Jeszcze tylko cumowanie do opony (opony mają przyczepione dwie cumy, trzeba je wciągnąć i zaczepić o knagę) i ... żegnamy się. Wracamy do Colon.

A tu dowiadujemy, że wszyscy są na zakupach, ale powinni wrócić niedługo. Głodnie zamawiamy kurczaka i browarek i czekamy na ekipę. Ooo, jest Andrzej... Pierwsze co robi to - serdecznie witając się - sprawdza moją fryzurkę „Dziewczyny, uduszę was!” Hehe, w małym szoku jest chyba (Łysy Agatek? nie spodziewał się, że to zrobię; a ja – zrobiłam; po 4 miesiącach pływania na mantrze zmieniłam swoją fryzurkę... na całkowity brak fryzurki; od zawsze chciałam to zrobić! I czuję się cudownie! Fantastycznie!)

Czeka nas mnóstwo zakupów – zaprowiantowanie na kilka długich miesięcy rejsu po Pacyfiku. Perspektywa robienia kilkudziesięciu kursów naszym mantra dinghy (nazywanym pieszczotliwie „water dinghy”) przeraża wszystkich. Wygodniej byłoby stać w porcie i nie marnować czasu ani nerwów na pływanie w te i nazad. I szczęśliwie miejsce w porcie się znajduje. Akurat dla naszych dwóch jachtów. Co za wygoda! Po tylu dniach na kotwiczowisku. I prysznic blisko. I pralnia. I knajpa. Jest pięknie!!!

## **19 luty**

Wielkimi krokami zbliża się nasze przejście przez Kanał Panamski, a my - nadal nie mamy pełnej załogi. Wieczorem wpadamy na genialny pomysł napisania ogłoszenia (po bezowocnym łożeniu po porcie; wszyscy bawią się na karnawale w Panama City, więc na jachtach albo pustki, albo siedzą z dziećmi). I już po chwili Ania przyprowadza dwóch sympatycznych, uśmiechniętych od ucha do ucha Francuzów (na szczęście gadają po angielsku). Bardzo chętnie nam pomogą. Prawie w tym samym momencie przychodzi Piotrek, kapitan żaglowca „Concordia” (pływa z kanadyjską szkołą pod żaglami), który też bardzo chętnie nam pomoże. Mamy więc załogę na oba jachty! Stało na tym, że na mantrze „Ani” jedzie Ania, ja, Julek i Francuzi, a na mantrze „Asi” - Gosik, Babe, Andrzej, Kinga i nauczyciel z „Concordii” (no i na każdym jachcie – oczywiście pilot, Meksykanin).

Późnym popołudniem płynie na Kanał. W czasie naszego odchodzenia z kotwicy pilotowy statek zahaczył swoją śrubą o łańcuch kotwiczny innego jachtu i pociągnął go z ogromną siłą do przodu! Wyglądało groźnie. Nie wiem, w jaki sposób łańcuch w końcu został odcepiony, ale pilotówka przycumowała się do boi i dłuższą chwilę czekała na rozwiązanie (przez nurka?).

Pierwsze śluzy przechodzimy z katamaranem, nasze mantry po obu jego burtach. Taaak, teraz my robimy za „big fender” (jacht będący w kanale od strony ściany).

Nasz pilot jest bardzo rozmowny, więc czas mija dość szybko. Na jachcie wesoło. A ja - siedząc chwilami na dziobie i patrząc na mijane bramy - myślę o tych wszystkich morzach, które przepłynęliśmy wspólnie, w dwie kobiety... wspólnych milach i wielkich oceanicznych falach, o tym przeklętym sterowaniu i o łożeniu boso w kiece na jachcie. Tak mi jakoś te 5 miesięcy śmiga przed oczami...

Oho, śluza, na rufę trzeba wracać. Rzutkowy podaje rzutkę. Ogromny ratowniczy zawiązany, ale trzeba jeszcze przy innej linii trochę się pomęczyć. Nasi Francuzi tak patrzą i w pewnym momencie mówią, że to ciężka praca! Nie, to nie jest praca; to jest żeglarstwo! A my, załoga s/y mantra „Ania” - po prostu to lubimy. Nie mogli się faceci nadziwić... Wieczorem stajemy na boi. Humory nam dopisują. Co prawda jak siadałam na rufie usłyszałam: „Pamiętaj o krokodylach co tu pływają. Rufa blisko wody przecież.”. Na szczęście tym razem krokodyle nie przyszły z wizytą. Ale małpy - wyły całą noc.

Najzabawniej zrobiło się, jak stwierdziłam, że ja śpię na zewnątrz. Na to Francuzi, że „no way” i koniec końców jeden z nich spał na deku a drugi w kokpicie. Nie ukrywam - czasem fajnie być kobietą. A w ogóle to z naszych Francuzów niezłe obieżyświaty: trochę tutaj, trochę tam. Sypiają najczęściej pod gołym niebem. Bardzo sympatyczni, choć – trzeba przyznać – potrafią być złośliwi.

Wczesnym (!) rankiem pobudka. Jedziemy dalej. My - od razu, mantra „Asia” musi chwilę poczekać na pilota. Obok nas ciągle przepływają duże statki i fale pasqdne robią... Właśnie sterowałam i upss... miska z sałatką wybrała wolność (wypadła z kambuza... ponoć lot miała niezły; ja tego nie widziałam, za to - słyszałam... bo „arcoroc” wcale nie jest nietłukący; w mak poleciał... zarówno sałatka jak i szkło były wszędzie... I był chwilowy zakaz łożenia boso).

Jeszcze ostatnia śluza – Miraflores - no i witaj Pacyfiku! Jesteśmy na Oceanie Spokojnym!!! Teraz już tylko boja i luuuzik. Żegnamy naszych francuskich przyjaciół i czekamy na mantrę „Asię”.

Kilka dni później przestawiamy się na inne kotwicowisko. Stoimy jakiś czas, oddając się przygotowaniom do Pacyfiku, naprawom jachtów, uciechom zwiedzania miasta itp. Jest jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Jeszcze to, jeszcze tamto... A czasu coraz mniej. Postanowiłam więc wykapać się w końcu w Pacyfiku. No bo jakże to, być tu i nie wykapać się? Woda jest zimna (działanie lodowatego prądu morskiego ponoć).. ale co tam. Nóżka,

rączka i chlup. Płynę. Jeden ruch, drugi i... wracam na jacht. Ręty, jak zimno! A Julek śmieje się, że aż 17 sekund zajęła mi ta pacyficzna kąpiel. Ale zaliczyłam, żeby nie było że nie. Co ja na to poradzę, że przyzwyczałam się do wody z temperaturą 28°C. I zimno robi się mi już jak woda ma stopni 27....

## **Karnawał**

W Panamie właśnie trwa karnawał. Nie możemy przepuścić okazji (pewnie jedynej w życiu) by nie zobaczyć go! Idziemy do miasta. Na ulicach tłumy. Mnóstwo sprzedawców, którzy usadowiwszy się na ziemi sprzedają koszulki, ozdoby na szyję, torby... A wszystko drogie jak diabli. I mnóstwo straganów z pieczonym kurczakiem i piwkiem i innym takim imprezowo-plenerowym żarciem. Ludzie poubierani odświętnie (szczególnie dziewczynki: paradują w ślicznych sukieneczkach i patrzą tymi swoimi czarującymi oczętami). I wszędzie parady! Środkami ulic jadą wielkie wozy z dziewczynami na platformach. Dziewczyny, w świecących strojach (oj, skąpych bardzo niekiedy), ostro wymalowane, tańczą na specjalnych platformach (czy raczej - ruszają biodrami) i uśmiechają się szeroko do wszystkich. Takich wozów jest całe mnóstwo! Na niektórych stoją miss – z diademami we włosach, z szarfami, również takie miss kilkuletnie. Niektóre z tańczących dziewczyn (i to nie tylko tych młodszych!) często upatrują sobie w tłumie jakiegoś faceta, który od tańca i wdzięków tancerki oczu nie może oderwać. I co? Jak chcesz tak patrzeć to płąć! I nie dadzą biedakowi spokoju, dopóki jakaś kasa nie znajdzie się za ich bielizną. A jak tenże biedak tylko zacznie się ociągać, to z tłumy zaraz wyłania się inny facet, obrońca kobiet... Bo ten karnawał nie toczy się tylko na głównej ulicy, gdzie wszystko ładnie i w miarę grzecznie... Między wozami maszerują kilkudziesięcioosobowe grupy tubylców (i chyba nie tylko tubylców), od malutkich dzieciaczków po sędziwych staruszków. Wszyscy tańczą lub podrygują w ten sam rytm, i wesoło pokrzykują. I właśnie te grupy maszerujących podobają mi się najbardziej. Grupy ludzi przemierzających ulice w jednym rytmie, wyśpiewujących niezrozumiałe dla mnie teksty. Z bębnami, z lusterkami, w kolorowych panamskich strojach. Wyglądają tak wymyślnie. Niesamowite wrażenie. Ludzie ci bawią się tak kilka dni. A potem znów czekają na tę imprezę - calutki rok!

## **1 marca 2006 r. Balboa, Panama**

Jestem już spakowana (zrobiłam to wczoraj), ale wstałam wcześniej. Ania i Ewka jeszcze śpią (w końcu jest 7.00 rano, środek nocy) Usiadłam na pokładzie. To moje ostatnie chwile na tej mantrze. Smutno. Tyle miesięcy tutaj przeżyłam!!! Tyle porażek i sukcesów,

tyle chwil przerażenia i strachu, tyle radości, śmiechu i szczęścia. Ileż razy przesiadywałam na tym dziobie? Ile tu nawykliwałam?! Kiedy wiało i kołysało jak cholera, kiedy dziób był cały mokry bo fale na nim lądowały i ja cała mokra byłam, kiedy tak uparcie walczyłam z fokiem, kotwicą, kontraszotem, spinakerbomem... Taaak, Neptun nas nie rozpieszczał. Poznałyśmy skalę Beauforta od 0 do 9... Tak-tak, 0° na Atlantyku też było... i 9-tka pod Maroko, gdzie nam dowiało ponad 40-42 węzły... Oj te cholerne trzy dni, których nie zapomnę do końca życia! Ale jest i mnóstwo wzruszeń: śpiewanie do łysego, odstraszenie chmur, wielorybów i innych stworzeń, uprzyjemnianie sobie życia słodkościami i innymi puszkami (śmieją się, że teraz, jak będę obiad robić w domu, to puszek będę szukać...).

Czas się żegnać. Ciężko. I łąza się w oku kręci. Przecież tyle miesięcy razem – dobrych i złych chwil, tyle zmartwień, strachu, problemów i... radości. A teraz - koniec. Wiem, każdy rejs kiedyś zaczyna się i kiedyś - kończy....

Zobaczyłam kawał świata! Poznałam tylu wspaniałych ludzi! Mnóstwo się nauczyłam! No i przepłynęłam Atlantyk!!! W 17 dni 3 godziny i 34 minuty!!! Zrobiłyśmy to we dwie kobiety na 8.5-metrowej łódce. Czy to mało?...

Już na lądzie, w taryfie, jedziemy z Andrzejem na lotnisko do Panama City. Hmmm, czy ja już wspominałam, że jeszcze NIGDY w życiu nie leciałam samolotem?! Wsiadamy na lotnisku, wypełniamy jakieś papiery, ważą bagaże itp. Wsiadamy. Boję się! Mam lęk wysokości!!! Ale słyszę: „na maszt wlażłaś po topenancie? a na drugi saling na Chopinie? to nie marudź cholera, że jakiegoś lotu się boisz!”. Samolot startuje.... Ja chcę na ziemię, na mantrę!!! Lądujemy w Caracas. By stąd lecieć dalej - Boeningiem 747! Andrzej, ja nie wsiadam!!! Ale on tylko się śmieje i opowiada jak to ten Boening szybko leci, jak wysoko, no i jaki jest ogrooomny... Potwór! Sadysta! Za co on nade mną tak się znęca?! Patrzę na nasz samolot i nie mogę uwierzyć, że ja mam tym czymś lecieć...Chyba z zamkniętymi oczami!!! Lądujemy (szczęśliwie) w Paryżu. Stąd jeszcze lot do Berlina. I nareszcie koniec latania. I już wiem na pewno: zdecydowanie wolę pływać aniżeli latać...

Wracamy do Szczecina, a ja - następnego dnia - do domu, do kochanego Krakowa. Do stęsknionej rodziny i dawno nie widzianych przyjaciół. Teraz na nowo muszę przyzwycząić się do życia na lądzie, do niekiwania, niesprawdzania „jesteś?!“... I tęsknoty, by znów popłynąć na morze i kiwać się między falami...

### **A już na koniec...**

Andrzeju! Dziękuję Ci za możliwość spełnienia marzenia o Atlantyku, tym wielkim ogromnym Oceanie (ja wiem, że jeszcze nań wrócę!)

Asiu! Za to, że chciałaś ze mną płynąć, że dzięki Tobie tam byłam! (trzymam kciuki za Pacyfik, i całą resztę)

Gosiu! Za Twój optymizm, za „Plusssza”, „Metallicę” i za ciepłe słowa w chwilach trudnych..

Madzik! Za Twoją radość i upartość...

Aniu! Dziękuję Ci za wspólne, niełatwe 5 miesięcy! Za Twoją upartość. Za „Steruj nie marudź!” Za „Strach ma wielkie oczy, ale trzeba go pokonać!” Za „Nie patrz...zawsze wygląda tak samo!” Za „Twardym trza być”... Za uśmiech, kapitańskie kawki, radosną twórczość, wspólne wycia i protesty. I trzymam mocno kciuki za Twoje „kółko”!

*Agata Mryczko*